Rok 1901. Lwów, 11. Sierpnia Nr. 31.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·–	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·–	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·–	„ ½
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów ∗ Cicha 5.



Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą ❁ oraz Biura dzienników.



Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE“ po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego“ po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, ul. Cicha 5.

Rok 1901. Lwów, 11. Sierpnia Nr. 31.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16	półrocznie 8	kwartalnie 4	miesięcznie 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek	„ 16	„ 8	„ 4	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków	„ 20	„ 10	„ 5	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów	„ 4	„ 2	„ 1	„ —
W Ameryce południow.	franków	„ 25	„ 13	„ 7	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy nadsyłać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO" Lwów ul. Cicha 5.


Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.


Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE" po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego" po 2 korony od 100 egzempl.

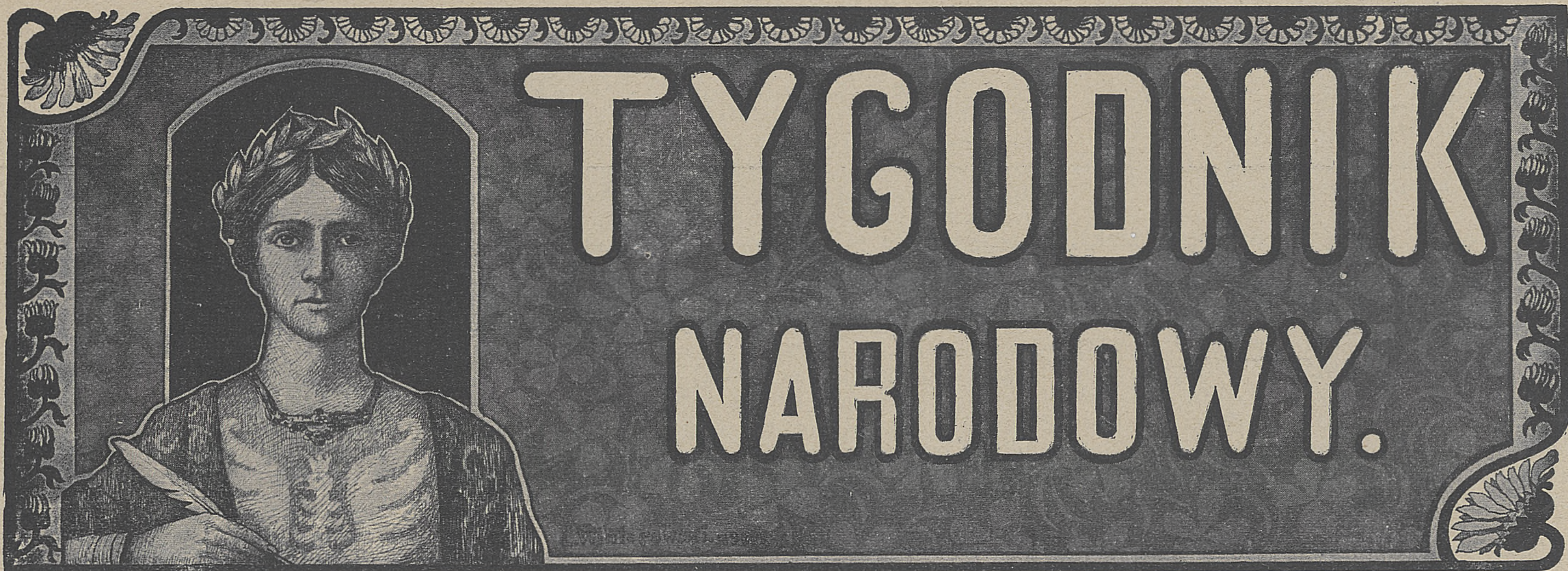
Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmuje: Administracya „Tygodnika Narodowego" we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego", ul. Cicha 5.

Rok 1901. Lwów, 11. sierpnia Nr 31



Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11., Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 31:

Polacy nad Sekwaną.
Czesław Halicz: Sztuka i ideały etyczne.
Gabryela Biernacka: Dziecko.
Or—ot: Idzie żołnierz lasem, borem... (Wiersz).
Z. D.: Historya literatury powszechnej. (Dokończenie).
Fr. Coppé: Przebaczenie.
S. Posner: Socyologia.
W. S.: Powieści historyczne dla młodzieży.
Walka z rakiem.
Nowe książki.
Ogłoszenia.
Ryciny: *G. Trabacchi:* Betsabea.

Polacy nad Sekwaną.

Chociaż nasi rodacy od czasu, gdy we Francyi zapanował szowinizm rosyjsko-republikański, nie cieszą się tam już taką sympatyą, jak za drugiej rzeczypospolitej i drugiego cesarstwa, niemniej jednak są gałęzie zajęć, które przypominają Francuzom, żeśmy ci sami, co byli i zmuszają pysznych Francuzów do poszanowania imienia polskiego, a przedewszystkiem polskiej nauki. Odnosi się to przedewszystkiem do lekarzy polskich we Francyi.

Od czasów emigracyi do dziś, mieliśmy we Francyi tęgich przedstawicieli stanu lekarskiego. Historya lekarzy polskich we Francyi stanowiłaby pokaźny tom. Nie podobna więc cofać się do przeszłości, zwłaszcza, że i w obecnych czasach liczymy wśród polskich kapłanów Eskulapa, luminarzy.

Pierwsze nazwisko, które tu nasuwa się pod pióro, to nazwisko doktora Jana Babińskiego. Wiosną, w czasie choroby Waldeck Rousseau'a, miano jego roznosiły codzień telegramy po świecie, jemu bowiem oddał się w opiekę prezydent ministrów. Ale w kołach naukowych imię naszego rodaka już od dawna zasłynęło.

Urodzony w r. 1857 w Paryżu, z ojca emigranta i matki Polki, dr. Babiński pobierał studya w szkole batiniolskiej, potem w liceum Ludwika Wielkiego. W r. 1875 wstąpił na medycynę, w pięć lat później był już tak zwanym internem, w r. 1885 uzyskał stopień doktora. Zamianowany natychmiast naczelnikiem kliniki chorób nerwowych prof. Charcota, otrzymał w r. 1890 po świetnem zdaniu konkursowego egzaminu, godność „médecin des hospitaux", a z nią własny oddział w paryskim szpitalu Pitié.

Jest to najwyższy stopień w francuskiej hierarchii szpitalnej. Ze stanowiskiem lekarza szpitalnego jest połączona zarazem katedra kliniczna. Co roku też, w półroczu letniem lub zimowem, wykłada dr. Babiński o chorobach nerwowych i zawsze salę wykładową ma szczelnie nabitą.

Już w czasie studyów uniwersyteckich rodak nasz zwrócił się ku chorobom nerwowym. Uczeń najznakomitszych profesorów, jak Charcot, Vulpian i Ranvier stanął od razu na wyżynie badan.

W małym tym szkicu nie zdołałbym ani wyliczyć jego rozpraw (cyfra ich przekracza kilka dziesiątków), ani wyłożyć małej części nawet zdobyczy jego poszukiwań, nacechowanych głęboką erudycyą, wytrwałą pracą i niepospolitą bystrością myśli i obserwacyi. Wspomnę jednak o kilku najważniejszych.

Wniósł on zwłaszcza wiele światła w dzieje początkowych faz chorób nerwowych. Tak naprzykład od kilku lat neurologia opiera się na wykrytym przezeń i dla uznania jego zasług od niego nazwanym „syndromie Babińskiego", ilekroć idzie o skonstatowanie chorobowych zmian w tak zwanym systemie piramidalnym rdzenia przedłużonego. Także pierwsze stadja uwiądu starczego (tabes) rozpoznajemy dziś, dzięki badaniom Babińskiego, o wiele wcześniej, (konstatując zanik t. zw. odruchu Achillesowego). Ma to wielkie znaczenie lecznicze, tabes bowiem uważano za nieuleczalny, gdyż konstatowano go za późno. Tymczasem rozpoznany wcześniej, może uledz wstrzymaniu.

Terapia tej strasznej choroby ma bardzo wiele do zawdzięczenia naszemu rodakowi. Po długich bowiem i gruntownych poszukiwaniach skonstatował on, że początek jej jest swoisty. Odpowiednie też leczenie daje mu znakomite wyniki.

Studyując działanie elektryczności na organizm ludzki, wykrył Babiński inny objaw, przedtem niespostrzegany. Oto za pomocą prądu woltaicznego, przepuszczanego przez skronie, odkrywa utajone choroby ucha, nawet wtedy, kiedy chory ich się nie domyśla. Więc znów zawczasu podjęte leczenie może zapobiedz niebezpieczeństwu.

Jak powiadam, wyróżniłem tylko drobną cząstkę zdobyczy, jakie wiedza zawdzięcza polskiemu uczonemu. Ale winienem tu dodać, że z zaletami umysłu łączy on i zalety ducha i serca. W czasie jednej z epidemij odznaczył się tak niezmordowanem poświęceniem, że władze zdrowia udzieliły mu złoty medal honorowy.

Dla nas zaś szczególniej miłem jest i to, że chociaż urodzony i wychowany na obczyźnie, dr. Babiński przecież został Polakiem. Jest członkiem Towarzystwa Przyjaciół nauk w Poznaniu i Towarzystwa lekarzy warszawskich. Mówi wybornie po polsku i czuje po polsku.

Przy sposobności pomówimy o innych lekarzach polskich w Paryżu. Obecnie zaś podamy jeszcze wiadomość o kilku nowych doktorach i doktorkach, promowanych świeżo przez fakultet paryski.

W ostatnich tygodniach uzyskali stopień doktora wszech nauk lekarskich: p. Chądzyńska z Królestwa Polskiego i pp.: Włodzimierz Bugiel, Napieralski i Polak. Pani Chądzyńska traktowała w rozprawie swej doktorskiej o jednej z kwestyi dotyczących karmienia niemowląt, pan Polak wybrał temat z dziedziny chorób dróg moczowych. P. Napieralski rozwinął w swej pracy właśnie tylko co wspomnianą sprawę odkrytego przez dr. Babińskiego ujawniania chorób usznych za pomocą elektryczności.

P. Bugiel zaś przedstawił jako rozprawę doktorską owoc kilkuletnich swych studyów nad życiem i pismami znakomitego lekarza polskiego w czasów Odrodzenia, Józefa Strusia (Un célèbre médecin polonais au XVI siècle, Joseph Struthius: 1510 - 1568). Urodzony w Poznaniu w r. 1510, Józef Struś odebrał wykształcenie lekarskie w Krakowie, potem w Padwie, został mianowany profesorem uniwersytetu w Padwie (1535—1545), położył tam wielkie zasługi około nauki o pulsie i wrócił następnie do kraju, by sprawować godność przybocznego lekarza króla Zygmunta Augusta. Dzieła jego, a zwłaszcza „Ars sphygmica", której 800 egzemplarzy sprzedano pierwszego dnia po wydrukowaniu, mają wielkie znaczenie w dziejach medycyny.



Czesław Halicz.

Sztuka i ideały etyczne.

Sztuka żyje miłością natury, umiera na serwilizm dla ludzi.

Od czasu, kiedy współczesna sztuka, odrzuciwszy wszelkie więzy, którymi w imię różnych idei społecznych krępować próbowano jej wzloty, kroczyć poczęła swoją własną, odrębną drogą, przepaść między artystami i publicznością pogłębiła się znacznie, a zarzuty, których społeczeństwo po wsze czasy nie szczędziło sztuce i artystom, stały się coraz gorętsze, przechodząc stopniowo w protest, pełen namiętnego żalu i rozgoryczenia.

Jakżeż to być może, — wołają nasi działacze społeczni, a za nimi powtarza cała publiczność — żeby ta sama sztuka, która stać się może najwspanialszym środkiem wyrażania uczuć i myśli, tak zupełnie i bezwarunkowo odsunąć się chciała od współudziału w propagowaniu idei naukowych religijnych i społecznych? Gdzież szukać należy przyczyny, że ci sami artyści, którzy umieli ukochać ją aż do zupełnej abnegacyi, którzy na jej ołtarzu największe nieraz bez szemrania składają ofiary, z taką dumną obojętnością, ze wstrętem niemal usuwają się od wszelkiej pracy społecznej, pozostają głusi i ślepi na nędzę i niedolę ludzką, co więcej — z bezlitosną pogardą rzucają tłumowi te znamienne słowa: Nie dla tłumu jest sztuka, nie dla słabych, ciemnych i głupich, nie takich trzeba wyznawców jej, boskiej kochance wybranych!

Takiemu hasłu z przeciwnego obozu odpowiada gorący protest: Na pohybel takiej sztuce, która, pochłaniając wyłącznie i absolutnie całą duszę, nie pozostawia nawet najdrobniejszej cząsteczki na ukochanie ludzkości i wzniosłych ideałów etycznych! Sztuka przedewszystkiem winna być ludzką, aby do najszerszych mas najpotężniejszym głosem przemówić mogła.

Ażeby zrozumieć, po czyjej stronie leży słuszność, rozważyć należy przyczyny, które złożyły się na wytworzenie dwóch, tak zasadniczo różnych poglądów, zbudowały ów mur chiński między artystami i publicznością.

Pierwszym i zasadniczym błędem, popełnianym przez ogół, jest fałszywe pojmowanie genezy sztuki. Gdyby ktokolwiek w naszych czasach ośmielił sie twierdzić, że słońce istnieje jedynie po to, ażeby oświetlać i ogrzewać ziemię, zostałby wyszydzony i o ile nie odstąpiłby od swego zdania, niewątpliwie poczytany za waryata. Tymczasem, ten sam rozumny i oświecony ogół dotychczas pojąć nie może, że sztuka istnieje i istnieć będzie po za obrębem na szej woli, biorąc swój początek w naturze i czyni jej istnienie zależnem od celów, które spełniać powinna. To błędne pojmowanie genezy sztuki daje początek całemu szeregowi twierdzeń mylnych, bo na fałszywej opartych podstawie. Uważając istnienie sztuki za coś zależnego od woli człowieka, ogół żąda od niej całego szeregu usług społecznych. Tymczasem sztuka, biorąc początek w naturze, przedewszystkiem, jak słusznie utrzymuje Ruskin, „winna iść za jej głosem, a nie naszemi czczemi usiłowaniami i pomysłami; na tem polega jedyne i ostateczne zadanie sztuki“. Tak mówi wielki esteta, którego całe życie było jedynem poświęceniem dla sztuki, jedyną korną adoracyą, a słowa wyżej przytoczone, to nie tylko jego osobiste przekonanie, to głos duszy każdego prawdziwego artysty. Sztuka — mówi dalej Ruskin — opiera się przedewszystkiem na uwielbieniu; wniknijmy w duszę prawdziwego artysty, a przekonamy się, że owo uwielbienie, owa nieustanna adoracya jest jednym z najważniejszych czynników, niezbędnych do stworzenia prawdziwego dzieła sztuki.

Jakże więc żądać możemy, aby ci sami artyści, którzy w sztuce widzą początek i ostateczny cel wszystkiego, ukochawszy ją ową szczytną miłością, która wszystko daje, niczego wzamian nie żądając, oddać ją chcieli na usługi tendencyi, zaprządz w jarzmo czczych doktryn i formułek. Z chwilą, kiedy artysta przestaje czerpać swe wrażenia bezpośrednio z własnej duszy, lecz przetwarza wszystko przez pryzmat ideowo-utylitarny, dzieło jego traci najważniejsze i niczem nie dające się zastąpić cechy — szczerość i bezpośredniość wrażeń, staje się ono wówczas utworem literackim, rozprawą filozoficzną lub społeczną, słowem — wszystkiem, co kto zechce, tylko nie prawdziwem dziełem sztuki, apoteozą szczerości i piękna.

Więc brońmy sztuki od serwilizmu, od utylitaryzmu, który jak mikroby — organizm toczy i rozkłada prawdziwe dzieło sztuki.

A jednak, myliłby się ten, który ze wszystkiego, wyżej powiedzianego, wysnuć chciał wniosek, że odmawiamy sztuce łączności ze wszelkimi przejawami życia społecznego, że nie dostrzegamy żadnego zadania etycznego, które sztuka spełnić może i niewątpliwie spełnia. Podobnie jak w naturze wszelkie organizmy połączone są całym łańcuchem zjawisk fizycznych i biologicznych, to wszelkie przejawy duszy ludzkiej — etyczne, religijne i estetyczne połączone są całą siecią silnych, choć częstokroć ledwo dostrzegalnych nitek. I podobnie, jak im wyższy jest organizm, tem doskonalsze spełniać może funkcye, tak samo — im wyższy jest przejaw duszy, tem wznioślejsze mu w udziale przypada zadanie. A więc sztuka, jako najwyższy i najdoskonalszy objaw duszy ludzkiej, musi mieć swoje zadanie etyczne. Tak, tylko, że to zadanie jest zgoła inne od tego, którego dopatruje się ogół, a nawet niektórzy artyści. Ażeby je spełniać, artysta nie potrzebuje naginać się do wymagań publiczności, bo leży ono w samej istocie sztuki, jest jej dobroczynnym skutkiem, a nie warunkiem istnienia. Nie znaczy to bynajmniej, ażeby artysta unikać miał wszelkich tematów społecznych. Temat, wbrew mniemaniu większości, jest rzeczą podrzędną, środkiem wyrażania uczuć artysty, a nie ostatecznym celem. I dlatego każdy temat rodzajowy, religijny czy historyczny jest zarówno dobry, byleby tylko odpowiadał indywidualnym potrzebom artysty, był objawieniem jego duszy, a nie za pomocą środków malarskich przedstawioną ideą. Obraz, przedstawiający robotników fabrycznych, może być takiem samem a nawet nierównie większem dziełem sztuki, jak najpiękniejszy widok natury. Lecz do tego trzeba, ażeby z tego obrazu wyzierała ku nam dusza artysty, a nie jego przekonania, ażeby te postacie robotników brudne, nędzne, pokoszlawione — ożywione były potęgą szczerości i uczucia, aby były jako okrzyk bólu, co się z duszy artysty wyrywa, a nie jako sumiennie odtworzone „dokumenty ludzkie“.

Przejdźmy z kolei do krajobrazu. Choćby to był widok najpiękniejszego zakątka ziemi, nie przeniknięty miłością natury, nie opromieniony natchnieniem, pozostanie zawsze tylko mniej lub więcej udatną fotografią. Przeciwnie, najskromniejszy, najpospolitszy nawet widok może zrobić na nas potężne wrażenie, jeśli spływa ku nam od tego obrazu niby objawienie wielkie i święte — dusza artysty. A ta dusza artysty jest jako ocean bezkreślny i głęboki, nie jako gwoli uciesze tłumów sztucznie urządzony wodotrysk. I, jak wody w oceanie, boskie fale natchnienia muszą rozlewać się szeroko, wysoko, nie znając żadnej tamy i żadnej zapory. Wówczas jedynie stworzy artysta dzieło potężne i szczere, i tem samem spełni jedno z najwznioślejszych zadań etycznych. Bo, darząc nas dziełem prawdziwej sztuki, dostarczając nam szeregu wzruszeń bezinteresownych i głębokich, wypromieniając naszego ducha boskim odblaskiem piękna, artysta dokonywa najszczytniejszego dzieła, o jakim marzyć może twórca — dzieła uduchowienia. A budząc w nas ducha, uprowadzając w promienną krainę ideału, czyż nie oddala nas tem samem od wszelkich ludzkich wad, pragnień i namiętności?

A zatem jedynem zadaniem sztuki winno być uduchowienie człowieka za pomocą dostarczania mu wrażeń szlachetnych, bezinteresownych i głębokich, które wypływają z samej jej istoty. By spełnić to zadanie, sztuka nie potrzebuje naginać się do żadnych celów, dosyć jej istnieć — i oto wszystko. Bo, podobnie, jak słońce, co choć wysoko świeci ponad ziemią dumne, wspaniałe i obojętne, zlewa na nią całe kaskady ciepłych, życiodajnych promieni, tak samo sztuka, choć na wysokich, niedostępnych przebywa szczytach, z królewską hojnością rzuca boskie iskry piękna, rozświetlając smutne pomroki biednego ludzkiego ducha.



Gabryela Biernacka.

DZIECKO.

— Czy jesteś katolikiem?—spytała, pochylają się nad umierającym, siostra miłosierdzia, w której oczach malował się smutek wielki i dobroć bezgraniczna.

Chory dał głową znak potakujący, a przy tem poruszeniu krew wąskim paskiem zabarwiła kołnierz grubej koszuli.

— Pragniesz się wyspowiadać?

Biedak znowu poruszył potakująco głową.

— Masz żonę?

— I dziecko! — krzyknął z wysiłkiem, chrapliwym głosem, podnosząc wskazujący palec prawej ręki do góry, przyczem otworzył szeroko oczy, a dwie łzy wielkie spłynęły po męskiej twarzy, łzy, których nie wywołało cierpienie fizyczne, ani groza zbliżającej się śmierci, ale myśl o dziecku, które zostanie sierotą.

Tak, Walenty kochał bardzo, bardzo tę małą kruszynę białą i pulchną, z dołeczkami na nóżkach i rączynach, kochał więcej tę krew z krwi swojej, niż Różkę nawet, śliczną Różkę, która mu ślubowała w parafialnym kościółku, tam w Grabowicach.

Walenty nie zawsze pracował, jako wyrobnik przy kanalizacyi, nie zawsze oddychał miejskiem powietrzem, nie zawsze chodził w wyszarzanej bluzie robotniczej. Urodził się na wsi, na Kujawach, z mlekiem piersi matczynej wchłaniał w siebie aromat, płynący z pól i łąk żyznych, do pieśni nad kołyską łączył się rankiem głos śpiewaka Matki Boskiej, a wieczorem żab rechotanie. Stara babula, przędąc na kołowrotku, opowiadała piękne bajki i najpiękniejsza była o królu, co był taki malutki, że aż śmiech, a taki waleczny, taki bitny, że pokonał i zawstydził rycerzy, ogromnych wzrostem, i chytrych, i przebiegłych i pod Płowcami zadał klęskę taką, że ci, co z życiem uciekli, dużo plastrów sobie na ciało przyłożyć musieli, zanim się z ran wylizali.

Gdy babula zdrzemnęła się nad robotą biegł Walek pod topolę i prosił mającego gniazdo na starej bronie bociana, żeby mu opowiedział, co widział za górami i morzami. A w lesie ile cudów! Podpatrzył mrówki w robocie i myślał sobie, jak to być może, żeby taki drobny, mały robaczek taki pracowity i silny był i dźwigał nieraz ciężar trzy razy większy od siebie. Albo te chytre, przebiegłe lisy, przebieglejsze od człowieka, który na nie różne sidła i trutki zakładał!

Oj, oj, co to była za uciecha, gdy się pokazały poziomki, czarne jagody i grzyby! nawet matula budzić go nie potrzebowała, o świcie był już na nogach i matce obiad dostarczał i kobiałkę do dworu zaniósł.

Już miał z dziesięć lat, gdy tatulo z matulą prawie jakoś razem umarli i państwo wzięli go do służby: pasał gęsi dworskie, potem był źrebiarkiem, a potem fornalem. Ani się spostrzegł, jak z małego Walka wyrósł duży Walenty, wąsy się sypnęły, a dziewuchy wiejskie, nawet gospodarskie córki, mile ślepkami zerkały. Ale on do żadnej serca jakoś nie miał i tak sobie medytował: Toć to i lepiej, że mi wszystkie dziewuchy za jedno, ta na liczku gładka i niby krew z mlekiem, druga ma warkocze jak biczysko, inna oczkami, jak tareczki, wabi, ale za serce żadna nie chwyciła. Pewnikiem wezmą mnie do wojska, a żem nie baba, to się karabina nie zlęknę, i nie będę miał żałości na duszy, że zostawiam dziewuchę kochaną.

Tymczasem choć zdrów i silny, wyciągnął dobry numer, munduru nie przywdział, do domu powrócił. Dziedzic się ucieszył i wziął go do cugowych koni, na miejsce starego Franciszka, który niezdarnie na koźle wyglądał.

Jadąc z panem, zamiast liberyi z guzikami wkładał okrągły kapelusz z dużemi skrzydłami, a pod granatową kamizelę czerwoną koszulę, i trzaskał z bata przy wjeździe, że aż grzmiało, a oczy tylko mrużył, bo się bał, żeby z radości na wierzch nie wylazły.

Jakoś na św. Jana przyszła do dworu nowa pokojówka Rózia. Gdy ją Walek zobaczył w kwiaciastej spódnicy, niebieskim fartuchu, aksamitnym gorsecie, z biczem korali na szyi, i czerwonej chusteczce na jasnych jak len włosach, od razu głowę stracił. Nawet nie wiedział, jakim sposobem się to dzieje, ale gdzie się tylko ruszył, goniły go chabrowe oczy i wesoły śmiech Rózi.

Na frycowem z nią najwięcej tańczył, a wywijała zgrabnie, lekko i takt doskonale trzymała. A na okrężnem, gdy objął ją wpół i zaczęli w oberku przebierać z początku wolno, wolniuteczko, a potem coraz szybciej, szybciej, aż tchu brakło, serce zaczęło mu walić jak młotem, nie wytrzymał i szepnął Rózi do ucha, ściskając ją mocno:

— Słuchaj, ty musisz być moja!

Dziewucha zaczerwieniała, jak koraie na białej koszulce i zatrzymując się, szepnęła:

— Ej, nie kpij! nie kpij z biednej sieroty!

— Różka, Różka, ty dobrze miarkujesz, że ja nie kpię; spojrzyj mi w oczy i powiedz sprawiedliwie!

— Za tobą gospodarskie córki się oglądają, gdzie tobie myśleć o służącej!

— To dobrze, niech się oglądają, nie mogę zabronić, ale miłować, to tylko ciebie miłuję. Ino słuchaj, może ty masz kogo na myśli?

— Jużci, że mam, odparła z uśmiechem filuternym.

Walek zbladł.

— A kogo? gadaj, ja się z nim rozmówię!

— Szkoda języka, nie usłyszy Jacek pastuch, bo ogłuchł ze starości, to się z nim nie dogadasz, daj spokój!

— Co ty pleciesz, dziewucho?

— To samo, co i ty! Ty kpinkujesz i ja także, wolno tobie, wolno i mnie. Taki pan jak ty, pan forczman, co nawet włodarzówna do niego się mizdrzy, myśli, że biedna pokojówka zaraz mu uwierzy. Ale puść mnie, dziedziczka woła.

— Różka, słuchaj, co tobie po głowie chodzi. Klnę ci się na pana Jezusa, że cię miłuję, wszystkie mi przy tobie niezdarzone, ślepe, krzywe, żadna mi nie miła, choćby miała skrzynię talarów. Rzeknij tylko, a pokłonimy się do kolan dziedzicom, na zapowiedzi zaniesiemy i zanim się wykopisko kartofli skończy, będziesz gospodynią w swojej chałupie. Chcesz?

Rózia kiwnęła głową, skubiąc róg fartuszka, ale nie powiedziała nic więcej, bo sam panicz, który w Warszawie do szkoły chodzi, wziął ją do tańca.

(Dokończenie nastąpi).



Or—ot.

Idzie żołnierz borem, lasem...

I.

Od północy wicher śwista,
Pusta droga, noc za pasem,
Idzie sobie legjonista,
Idzie żołnierz borem, lasem.

Obtargane lederwerki,
Nogi czarne, jak ta gleba,
A w tornistrze kąsek sperki
I czerstwego kawał chleba!

Cały w łatach mundurzyna,
Furażerka — żal się Boże!
Ale jeszcze barwa sina
Przy ponsowym lśni kolorze!

Z kijem w garści, niby ślepy,
Postękując krzywo czasem,
Przez bezdroża, przez wertepy
Idzie żołnierz borem, lasem...

II.

Na zachodzie strop się pali,
Morze ognia płynie w górze,
Kędyś wioskę widać w dali,
Całą w złocie i purpurze.

Po nad strzechy dym polata,
Żóraw skrzypi gdzieś u studni,
Ze źrebięciem klacz srokata
Na podwórzu dworskiem dudni!

Siwy bociek hen klekota
Na kościelnej starej wieży,
Srebrna Wisła z łąk migota,
Co do Gdańska szumnie bierzy.

To zadźwięknie śmiech przelotny,
To ktoś piosnkę huknie basem, —
A tam smutny i samotny
Idzie żołnierz borem, lasem..

III.

Noc zapadła tak ponura,
Jak był jasny dzień miniony, —
Dookoła czarna chmura,
Jak krew księżyc lśni czerwony.

Jakby ludzkie serce płonie,
Z krwawej piersi wyszarpnięte,
Wszystko głuchnie, w mroku tonie,
A to serce drga — przeklęte!

Ani chaty, ani pola,
Ani chleba, ani wody,
Jeno z tobą zła niedola
Na pustkowiu sprawia gody!

Jeno gwiazdy tam migocą,
Pokazując drogę czasem, —
Cichą nocą, głuchą nocą
Idzie żołnierz borem, lasem!

IV.

Hej, dorobek niesie suty:
Blizn bez liku! bose nogi!
I żelazne zdarłby buty,
Ten, co schodził takie drogi!

Od południa do północy,
I od wschodu do zachodu
Latał orzeł w orlej mocy
Z państwa słońca w państwo lodu.

A za orłem, skrzydłem burzy,
Gnały ptaki z krańca w kraniec,
Krwawiąc pióra w tej podróży,
Z serc pod niebo sypiąc szaniec.

Gdy wędrówkę wspomni ową,
Serce wali tołumbasem,
Z podniesioną hardo głową
Idzie żołnierz borem, lasem...

V.

Ot, szablica z rdzawą klingą,
Jeszcze na niej krwawa rosa!
Zna ją dobrze San-Domingo!
Sammosierra! Saragossa!

Nad Adygą, nad Wezerą,
U zielonej Renu fali,
Błyskawicą lśniła szczerą
I piorunem krwawej stali!

Pod płomiennych nieb szafirem,
W łunie piasku jarzącego,
Ona niegdyś pod Kairem
Osłaniała Sułkowskiego.

Śpi Sułkowski gdzieś w Egipcie,
Ukojony słodkim wczasem, —
Tak czytając, jakby w skrypcie,
Idzie żołnierz borem, lasem..

VI.

Bo ma księgę w swej pamięci
Stary wojak-inwalida, —
To w wyrazie łza się kręci,
To dżga butnie, gdyby dzida!

Nić się krwawa wskróś przewija,
A po brzegach zorza złota,
A na kartach — kanalija! —
Ludzkim głosem łka tęsknota!

Łka tęsknota wielkim głosem,
Bóg wie jeden, Bóg ją zważył!
Za jaśniejszym jakimś losem,
Co się marzył — i przemarzył!

Zań to walczył w owej dobie
Z biciem bębnów, z trąb hałasem, —
Śniąc o grobie! wielkim grobie,
Idzie żołnierz borem, lasem!...



Z. D.

Historya literatury powszechnej.

(Dokończenie).

Popularny swój wykład rozpoczął p. Święcicki od przedstawienia historyi badań nad przeszłością państwa asyryjsko-babilońskiego, poczem zapoznaje czytelnika z pismem klinowem i przechodzi do rozpatrzenia najważniejszych jego pomników. Tu spotykamy wiele cennych wyimków naprzód z literatury sumiro-akkadzkiej, potem z babilońskiej.

Wszystkie wyimki powyższe, według autorów niemieckich, angielskich lub francuskich, przekładał p. Święcicki samoistnie, a jaką im dał szatę w języku polskim, najlepiej zaświadczy próba.

Oto początek przekładu kosmogonicznej legendy babilońskiej.

„Kiedyś, gdy niebo nie miało nazwiska,
Gdy ziemia jeszcze nazwy nie nosiła,
Gdy Apsu, otchłań, ich prarodzicielką,
A chaos, Tiamat, była ich macierzą,
Wszystkie się wody w całość jednoczyły,
Gdy pól uprawnych, ni pastwisk nie było,
Wówczas, gdy jeszcze nikt z bogów nie [istniał,
Ni ich imiona, ni los był ustalon — —
Wtedy to wielcy powstali bogowie:
Lakhmu, Lakhamu zrodzili się pierwsi..

Podobnie w części 2-ej tomu I-go, poświęconej literaturze egipskiej, mamy na wstępie bardzo dobrze i sumiennie, opracowaną rzecz o „hieroglifach“ i ich odcyfrowaniu, krótki zarys obecnego stanu nauki, zwanej „egiptologią“, i następnie dopiero rozbiory i streszczenia pomników piśmienniczych na tle dziejowem Egiptu i w związku z wszechstronnym rozwojem jego kultury.

Oba działy uzupełnił autor podaniem szczegółowej bibliografii, która zawiera materyał źródłowy do badań. Na źródłach tych p. Święcicki bądź oparł się całkowicie, bądź czerpał z nich poparcie do wywodów własnych. Każdy, kto zachęcony przeczytaniem książki, pragnąłby się bliżej jeszcze z przedmiotem zapoznać, znajdzie tu wskazówki, podane wytrawną ręką, a znakomicie ułatwiające samodzielną pracę.

Niemniej sumiennie i z niemniejszym nakładem czasu i talentu opracowane zostały literatury: chińska i japońska.

Dwa te kraje: Chiny i Japonia, od połowy zeszłego stulecia coraz bardziej zaczęły interesować Europejczyka. Chiny ze swoją starą, patyną wieków pokrytą kulturą, ze swoim zastojem i odrębnością, Japonia, która niemal za dni naszych dokonała wielkiego przekształcenia się w cywilizowane państwo „europejskie“, zaciekawiły naprzód świat polityczny, a w następstwie i umysłowy nietylko swoją organizacyą wewnętrzną i działaniami na zewnątrz, ale także zdobyczami swojemi w świecie ducha, sztuką i literaturą.

Rasa żółta, zarówno w świecie myśli, jak i w świecie tworzenia artystycznego, zajmuje swoje własne, odrębne stanowisko.

Chińczyk, jak mówi słynny sinolog angielski Wells Williams — jest spokojny, przemysłowy, mający upodobanie do literatury, ateista, zamknięty w sobie.

Japończyk posiada przedewszystkiem inteligencyę, umysł jego jest mniej podatny do zajęć praktycznych, oddaje się natomiast z całem zamiłowaniem nauce i sztukom. Filozof skończony, żyje z dnia na dzień, próżen trosk o jutro i z lekkiem sercem przechodzi najcięższe koleje swego bytu. Żądny wrażeń i ciekawy aż do zbytku, rzuca się chciwie na wszelką nowość i rad naśladuje wszystko, co po raz pierwszy spotyka.

Te cechy charakteru narodowego położyły także piętno swoje na literaturze każdego z tych narodów, krewnych sobie, ale dalakich — że śmiało można uważać jeden za przeciwieństwo drugiego.

P. Święcicki nie rozpatruje też tych dwu literatur razem, ale każdej z nich osobny dział poświęca.

Literaturę chińską opracował autor mniej więcej tą samą metodą, którą wskazaliśmy już poprzednio, a więc poświęcił wstęp ogólnym uwagom o kraju, dał nam pojęcie o języku chińskim, zapoznał z machiną rządową państwa niebieskiego, z religią Chińczyków, dał charakterystykę Konfucyusza, Laotsego, Mencyusza, ważniejszych szkół filozoficznych, przebiegł pokrótce kwestye: wychowania, szkoły, nauki, określił prawodawstwo, opowiedział o stanie rzemiosł i sztuk pięknych w Chinach, poczem dopiero na tem ogólnokulturalnem tle rozwinął obraz poezyi lirycznej, dramatycznej i powieści chińskiej.

Jest tu może pewna dysproporcya pomiędzy tem, co należy do historyi literatury, a co właściwie do niej nie należy, ale dla czytelnika praca przez to rozszerzenie ram staje się jeszcze cenniejszą i jeszcze ciekawszą.

Najtrudniej było z literaturą japońską, która dotychczas „dla Europy przeważnie jest ziemią nieznaną“ zupełnie.

Jest to las bujny a dziewiczy, w którym nie wycięto nawet jeszcze olbrzymów najcenniejszych. Ale to też studya nad językiem i literaturą japońską zaczęły się bardzo niedawno. Datują się one mniej więcej dopiero od lat 40-tu, tłómaczy autor.

Posiłkując się jednak tem, co o Japonii napisano w Niemczech, we Francyi, i w Anglii, — i tutaj wywiązał się pan Święcicki z zadania ku ogólnemu pożytkowi a swojej zasłudze.

Szczegółowy rozbiór bogatej treści tych dwóch tomów „Literatury powszechnej“ zaprowadziłby nas zbyt daleko. Nie mamy zresztą na celu zapoznawania czytelnika gruntownie z treścią dzieła. poprzestajemy na informacyi, a Literaturę oceni najlepiej każdy, kto ją do ręki sam weźmie.

Jest ona dziełem, opracowanem niezmiernie sumiennie i z gorącem ukochaniem przedmiotu.

P. Święcicki znaczną część życia swojego poświęcił snać studyom przygotowawczym do wykonania tej pracy. Włożył w nią cały swój czas i cały zasób rozległego, wszechstronnego oczytania. I za tę pracę długą, wytrwałą i sumienną, co raz jeszcze podkreślamy, należy mu się uznanie i wdzięczność.

Pióro p. Święcickiego jest zbyt dobrze znane, aby tu dodawać należało, że książki jego pisane są jędrną i czystą polszczyzną, stylem łatwym i przystępnym, a nie pozbawionym polotu poetyckiego.

Pod względem zewnętrznym wydawnictwo nie pozostawia nic do życzenia. Nawet liczne w tekscie ilustracye, co u nas zdarza się jeszcze bardzo rzadko, wykonane zostały zadowalająco.

Wobec tego wszystkiego pewnym być już można, że gdy dzieło to całe w 12 tomach będzie skończone i przedstawi nam w ten sposób dorobki umysłowe wszystkich narodów historycznych, zapełnione zostaną poważne luki w naszem piśmiennictwie historycznem. Można tylko powinszować autorowi i samego wielkiego przedsięwzięcia i prawdziwego w niem powodzenia.

Nadmieniamy wreszcie, że tomy tej „Historyi Literatury“ wychodzą co kwartał jako tomy premiowe dla prenumeratorów „Biblioteki dzieł wyborowych“.

Fr. Coppé.

Przebaczenie.

W domu, a raczej w ulu, zamieszkanym przez klasę roboczą, przy ulicy Delambre, Tomasz Robec zajmował niewielki pokoik ze swoim sześcioletnim synkiem, a sąsiedzi i sąsiadki sądzili, że jest wdowcem. Dziecko było zawsze ubrane z nadzwyczajnem staraniem, nie zdradzającem zupełnie braku dłoni kobiecej i kumoszki paliła ciekawość, jak też dawno Robec pochował żonę, ponieważ ani on, ani synek nie mieli już krepy na kapeluszu, ani na rękawach.

Coddziennie rano Tomasz, pracujący jako zecer w dzielnicy łacińskiej, wychodził z rozespanym jeszcze Adryankiem na ręku i zostawiał go w szkole sąsiedniej, a wracając od pracy, wstępował po malca szedł z nim do rzeźnika, przekupki i sklepiku, aby kupić produkty potrzebne do ugotowania obiadu i potem zamykał się w domu do dnia następnego.

Kumcie litościwego serca żałowały tego biednego ojca, najwyżej czterdziestoletniego, bardzo przystojnego mężczyzny, ze smutną twarzą, bladą cerą i srebrnemi pasmami w brodzie i czuprynie. Mówiły do siebie:

— Ten Robec powinien się ożenić... porządny człowiek, niema co mówić, nikt go nie widział nigdy pijanym; znalazłaby się niejedna dziewczyna, co by chętnie za niego poszła i zaopiekowała się sierotą. Czy widziałyście, jak malec jest zawsze czyściutko ubrany? najmniejszej dziurki, ani plamy — nie każda kobieta potrafiłaby tak utrzymać dzieciaka. Zaraz z pierwszego wrażenia można poznać, że bardzo porządny człowiek i zarabia zapewne sporo...

Pragnęły zawrzeć bliższą znajomość, co zazwyczaj w klasie roboczej, spotykającej się często w sieni i na schodach, jest nader łatwem. Ale Tomasz kłaniał się zawsze bardzo grzecznie, lecz z daleka i mijał sąsiadki w milczeniu.

W niedzielę ojciec z synem szli na przechadzkę. Można ich było spotkać w jakiem muzeum, albo w ogrodzie botanicznym, w południe zaś w małej kawiarence, gdzie Tomasz wypijał powoli szklaneczkę absyntu, a Andryanek przeglądał tymczasem ryciny w pismach ilustrowanych

— Nie, moje paniusie kochane—rzekła raz do lokatorek odźwierna, osoba nader sentymentalna—ten wdowiec nie ożeni się drugi raz, powiadam wam. Którejś niedzieli spotkałam się z nim na cmentarzu Montparnasse, gdzie zapewne pochow-

żona; nawet na mnie nie spojrzał, musiał bardzo kochać swoją nieboszczkę. Taka wierność jest rzadką, ale zdarza się czasami. Niepocieszony!

Niestety! Tomasz Robec bardzo kochał swoją żonę, ale istotnie niepocieszony, lecz wdowcem nie był.

Historya jego życia dość powszednia i niewesoła. Jako drukarz, nie odrazu był zarządzającym, przy skromnem więc utrzylustro, aby ukochana cała przejrzeć się mogła. Małżonkowie kochali się bardzo i czuli zupełnie szczęśliwymi w swoich dwóch pokoikach na piątem piętrze przy bulwarze Port-Royal, z balkonem, ukazującym jak na dłoni cały Paryż.

Wychodząc z drukarni Robec zrzucał bluzę robotnika i ubrany prawie jak pan, czekał na wyjście żony, pracującej w fabryce przy ulicy Saint-Honoré. Trzymając

A później, później, chodzili odwiedzać swego małego Feliksa, oddanego mamce na wykarmienie. Nieszczęściem kochana dziecina umarła w konwulsyach, nie mając roku.

Gdy Adryanek się urodził, matka chciała go sama karmić, więc porzuciła pracownię, ale do domu roboty dostać nie mogła, nie przestawała jednak stroić się i grać roli pani. Tomasz pracował w dwój-



G. Trabacchi. BETSABEA.

maniu nie mógł myśleć o małżeństwie i doszedł trzydziestki w stanie bezżennym. Poznał wreszcie młodą dziewczynę, kwiaciarkę, piękniejszą od kwiatów, które wyrabiała. Była bardzo biedną, miała lat dziewiętnaście, śliczną buzię, pustki w głowie i zamiłowanie do strojów, z byle czego robiła modny stroik i wyglądała jak księżniczka.

Tomasz stracił głowę i ożenił się z Klementyną. Z oszczędzonych pieniędzy urządził skromne mieszkanko i kupił duże

się pod ręce i tuląc miłośnie jedno do drugiego, wracali do domu. Najrozkoszniejsze były letnie niedziele — nie wychodzili wcale, jedząc obiad przy otwartem oknie, potem on pił kawę i palił cygara, a ona podlewała kwiatki, znajdujące się na balkonie. Ach, ta Klementyna, jakaż ona była zawsze zręczna, drobniutka; nie mógł wytrzymać, więc podbiegał, całował ją w szyjkę i mówił: No, no, głuptasku, skończ już to podlewanie.

nasób, a nie mogąc wystarczyć, brnął w długi. Dziecko podrosło i nie potrzebowało ciągłych starań, zatem Klementyna próżnowała i nudziła się. Bezczynność jest złym doradcą.

Pewnego wieczoru Robec powróciwszy z synkiem do domu, spostrzegł na kominku list, z którego po otworzeniu wypadła ślubna obrączka. List bardzo lakoniczny zawierał kilka słów pożegnania dla męża i synka z prośbą o przebaczenie.

Tomasz nie uczuł gniewu w duszy, lecz ból i żal wielki, szalony. Płakał, jak dziecko, a gdy mały Adryanek pytał: Gdzie mamusia? Kiedy mamusia wróci? odpowiadał zdławionym głosem: Nie wiem.

Klementyna opuściła męża w pierwszych dniach maja. — Tomasz nie znosił od tej pory zapachu bzu. Sprzedał wszystkie ruchomości dla spłacenia długów i wyprowadził się w odległą dzielnicę na ulicę Delambre, nie bywając nigdzie i nie przyjmując nikogo.

W sierpniu odebrał list od żony, cztery bite stronnice, w którym wiele liter było łzami zamazanych. Błagała o przebaczenie, kończąc wyznaniem, iż ten, dla którego zdradziła małżonka, student medycyny, wyjechał do rodziców od pięciu tygodni wakacyjnych i nie dawał znaku życia. Była opuszczona i zdrajczyni z kolei zdradzona. Robec zaciął się w obrażonej dumie i nie odpowiedział wcale — od tej pory nie miał żadnej wieści o Klementynie.

Nadeszło Boże Narodzenie. Dawniej Tomasz szedł razem z żoną na grób dziecka i składali na mogiłce skromny bukiecik fiołków. W tym roku wybrał się z Adryankiem. Wchodząc w bramę cmentarną, doznał niewypowiedzianego bolu serca.

— Gdzie ona teraz? pomyślał, co się z nią stało?

Podszedłszy do grobu, stanął zdumiony. Na kamiennej płycie leżało kilka skromnych zabawek: trąbka, pajac, pudelek i gwizdawka.

— Zabawki! krzyknął radośnie Adryanek.

W tejże chwili Tomasz spostrzegł kartkę przypiętą do jednej z zabawek i schyliwszy się przeczytał słowa, napisane charakterem dobrze znanym: „Dla Adryanka od braciszka Feliksa, który teraz jest u bozi w niebie“. Jednocześnie uczuł, że dziecko tuli się do niego i szepce głosikiem drżącym:

— Mama!

Istotnie w oddaleniu kilku kroków, pod drzewkiem cyprysowem, ujrzał Robec kobietę nędznie odzianą, bardzo mizerną, z podsinionemi oczyma, która klęcząc, wyciągnęła błagalnie ręce. Po pewnem wahaniu popchnął Adryanka:

— Idź, pocałuj mamę!

Tak, gdy zobaczył żonę biedną, wynędzniałą i upokorzoną, zapomniał, przebaczył.

Klementyna uścisnęła dziecko gorąco, a zwracając się do męża, szepnęła nieśmiało:

— Jakiś ty dobry!

— Nie mówmy o tem, rzekł podając rękę, chodźmy do domu.

Niedaleko iść potrzebowali. Czuł jak dłoń wsunięta pod jego ramię drżała silnie, Adryanek tymczasem szedł w podskokach, zachwycony zabawkami.

Na progu domu stała odźwierna.

— Oto moja żona, droga pani, rzekł Tomasz, zwracając się do zdumionej kobiety. Przez pół roku bawiła na prowincyi u chorej matki i dziś dopiero powróciła.

I poprowadził, a raczej wniósł po schodach płaczącą kobietę. Wszedłszy do pokoju, posadził Klementynę na fotelu, wyjął ze schowanego starannie pudełka obrączkę i włożył jej na palec, a potem bez słowa wyrzutu pocałował w czoło

Nieszczęśliwa odczuła w tym pocałunku przebaczenie.

S. Posner.

Socyologia.

W wieńcu zasług naukowych wieku liść wawrzynu jeden, nosi miano „Socyologia“. I dawniejsze stulecia, aczkolwiek nie znały samej nazwy, prowadziły badania „socyologiczne“. Albowiem człowiek, który stał się człowiekiem dopiero w społeczeństwie ludzkiem, musiał od dni najbardziej w tradycyi współżycia ludzkiego odległych, trudzić umysł swój pytaniami z tem właśnie współżyciem ludzkiem związanemi, w nim swe źródło nie wysychające, wiecznie żywe mającemi. „Badania“ owe jednak (jeżeli tak nazwać się owe rozmyślania i roztrząsania, opowieści i porównania ośmielimy) odznaczały się najzupełniejszą przypadkowością i brakiem wszelkiego charakteru umiejętnego, przedewszystkiem brakiem wszelkiej metody naukowej. Dopiero w stuleciu 19-em na skutek wybitnych przyczyn historycznych, których ogniska raczej w politycznym układzie stosunków ludzkich, niż w świecie ducha szukać nam przyjdzie (skutki rewolucyi francuskiej, rozwój klas społecznych, organizowanie się mas ludzkich i t. p., krystalizacya pojęcia narodowości), geniusz Aug. Comte'a, korzystając z pomysłów Saint-Simona, rzucił w świat nowe, z barbarzyńska ukute imię nowej nauki, która, sama dla siebie byt swój mając — zająć się winna badaniem życia społeczeństw ludzkich.

Od tej chwili nieprzerwanym potokiem płynie na bezbrzeżnym dziś już oceanie usiłowań ludzkich w zakresie poznania — fala dociekań socyologicznych.

1. Pierwszy system socjologiczny zasługuje przedewszystkiem na wzmiankę zaszczytną. Comte ustanawia „hierarchię umiejętności“ według stopnia ich généralité. Każda poprzedzająca umiejętność jest założeniem logicznem i środkiem pomocniczym, koniecznym dla poznania każdej następnej. W taki sposób otrzymujemy szereg następujący: matematyka, astronomia, fizyka, chemia, biologia i fizyka społeczna czyli socyologia. Od początku tego łańcucha aż do końca panuje z jednej strony coraz zmniejszająca się dokładność i pewność naszego poznania (précision) z drugiej zaś coraz zwiększająca się złożoność (complication) przedmiotu badania, która do szczytu swego dochodzi na wierzchołku drabiny, w socyologii *). Zajmując się jakąkolwiek umiejętnością, musimy wchodzić po tej „échelle encyclopédique“ aż do stopnia, na którym pozostać zamierzamy. Propedeutyka socyologiczna wymaga znajomości wszystkich nauk, które ją poprzedzają. Właściwy jej najogólniejszy przedmiot badania nie stanowi jakiekolwiekbądź społeczeństwo ludzkie, lecz jedyne przyszłe społeczeństwo, które ogarnie ludzkość całą, a więc — ludzkość całą. L'étude de l'humanité est la seule étude vraiment finale (VI, 670). Zadaniem każdej umiejętności jest „widzieć, aby przewidzieć“, w tym celu nie wystarcza samo nagromadzenie faktów, ale tylko odkrywanie wśród faktów praw. Socyologia opierając się na biologii w łańcuchu umiejętności dzieli się z nią również przedmiot badania podobny. I społeczeństwo bowiem jest „organizmem“ albo „systemem organicznym“, a w przeciwstawieniu do organizmu indywidualnego — organizmem społecznym czyli zbiorowym. Stanowi on „ciąg dalszy szeregu organizmów zwierzęcych“; tu i tam panuje cecha charakteryzująca ciała żyjące t. z. consensus universel czyli oddziaływanie wzajemne i stałe części organizmów. Pewna „solidarność zasadnicza“ (IV, 235; V, 330; VI, 118) wiąże wszystkie „elementy społeczne“, solidarność, która wyraz swój i urzeczywistnienie znajduje w „harmonii samorzutnej“. Dlatego też badania nad jedną wyodrębnioną od innych stroną życia społecznego (n. p. prace ekonomii politycznej ówczesnej) pozostaną jałowe. Polityk, któryby chciał zmienić ustrój bez względu na stan ogólny cywilizacyi, musi upaść.

Rodzina stanowi początek społeczeństwa i stanowi istotną jedność społeczną, „typ naturalny właściwego ustroju społecznego“. Życie rodzinne jest szkołą wiekuistą życia społecznego. Gdy wszelkie stowarzyszenie kryje w sobie nietylko różnice ale i nierówności, tedy i rodzina zbudowana jest na zasadzie podporządkowania kobiety i młodzieży; bez względu na zmiany, jakie zaszły w ustroju rodziny z biegiem czasu panowanie mężczyzny nad kobietą, rodziców nad dziećmi pozostało. Albowiem, jak dowiódł Gall — „kobieta przewyższa mężczyznę w zakresie sympatyi (uczuć), nie dorównywa mu zaś w sprawach rządzenia i w uzdolnieniu do pracy umysłowej“. Z rodzin powstają rody, z rodów — narody. Po za sferą jednak rodziny, co więcej po za granicami jednego pokolenia, dedukcya z cech jednostki dla objaśnienia całości traci wszelką wartość. Przeciwnie ta droga wiedzie od całości do oddzielnych części. W związku z tym poglądem, który usuwa wszelką wartość fizyologii dla fizyki społecznej — dochodzi Comte do przekonania, że człowiek jest nieistniejącą w rzeczywistości abstrakcyą, istnieje zaś tylko ludzkość.

Dotychczas mowa była o życiu społeczeństwa w stanie spokoju. Gdy ów wspomniany wyżej consensus znajduje się w stanie bezwładu, czyli gdy panuje porządek społeczny t. j. harmonia wszystkich elementów społecznych, wtedy mówimy o statystyce społecznej. Stan taki właściwy jest społeczeństwom zwierzęcym; ludzkość zdobywa w swym pochodzie stopień wyższy — dynamikę. Różnica, która dzieli „harmonię od melodyi, anatomię od fizyologii, dzieli również statykę od dynamiki, spokój od postępu. Prawo postępu jest prawem zasadniczem socyologii“. Co jednak ów postęp wywołuje, co wyraz swój w dynamice znajduje? Tu Comte wymienia przedewszystkiem dwa szeregi przyczyn mniej ważnych, nie stanowczych, ale bądź opóźniających, bądź przyśpieszających postęp. Należą tutaj 1) warunki zewnętrzne (rasa, klimat, ziemia — wogóle milieux biologiques) i 2) współzawodnictwo społeczne. Pra-przyczyną ruchu postępowego jest atoli duch ludzki: „dzieje społeczeństwa rozwijają się pod rządem dziejów ducha ludzkiego“. Ewolucya umysłowa i społeczna dopełniają się wzajem. Wszelkie reformy przedewszystkiem zastosowanie swe znaleźć muszą w dziedzinie życia umysłowego; w aptece środków zbawczych wskazuje Comte stale jako jedyny skuteczny — „reorganizacyę opinij, ażeby stąd zwrócić się następnie do obyczajów i wreszcie do instytucyj“. (Dok. nast.)

*) Nazwy tej użył Comte po raz pierwszy w tomie IV. *Cours de philos. positive*, str. 185; nieszczęsny ten barbaryzm po dzień dzisiejszy ostał się w terminologii naukowej. Zaznaczamy jeszcze, że on też nazywa badaczy w zakresie nowej umiejętności — *sociologistes* (V. 85) i używa określenia *sociologique* (IV, 180).

W. G.

Powieści historyczne dla młodzieży

Powieść historyczna, jako obrazowa lekcya historyi, posiada ważne znaczenie pedagogiczne. Ale taka lekcya, jak każda inna, może być dobrą lub złą, zajmującą lub nudną, prowadzącą prosto do celu, albo wodzącą po manowcach. Zależy to w równej mierze od talentu autora, od jego znajomości historyi i od jego doświadczenia pedagogicznego.

P. Zuzanna Morawska, której nazwisko dość często spotyka się na tytułach książek dla młodzieży zrobiła sobie wyłączność z tego właśnie rodzaju. W tym roku młodzi czytelnicy otrzymali od niej trzy utwory powieściowe, w dwóch tomach zawarte.

Pierwszy z nich nosi tytuł! „Jan Niewdzyd, powieść z dawnych czasów“. Te „dawne czasy“ nie są zbyt dawne — dzieli nas od nich niewiele więcej nad dwa stulecia. Jest to okres rządów Michała Korybuta. Bohater, młody mazur z okolic Szreńska, potomek zubożałej rodziny szlacheckiej, dla poprawienia sobie losu czepia się pańskich klamek, wstępuje na dwór starosty szreńskiego, przechodzi ztamtąd w poczet dworzan króla Michała, wreszcie znajduje się przy boku Sobieskiego, jako hetmana a potem i króla. Po wielu przygodach, naprzemian śmiesznych i tragicznych, dochodzi do upragnionego celu: odzyskuje utraconą „ojcowiznę“ i, zbogacony łupami wojennymi poślubia ukochaną oddawna panienkę.

Z tej powieści młodzież niewątpliwie wielu rzeczy nauczy się, do nauczenia się wielu innych nabierze ochoty. Warunki miejsca i czasu, dość wiernie przedstawione, nie wytworzą w niczyim umyśle fałszywego poglądu na historyę. Szkodzi jedynie powieści: zbytnie gadulstwo, oraz przesada w wizerunku Michała Korybuta.

W „Królewiczu“ odmalowała p. Morawska dziecięctwo i chłopięctwo króla Władysława „Warneńczyka“, nakreśliła też w zakończeniu jego śmierć głośną a niesławną.

W „Niedźwiedziu mamy znów lata chłopięce Zygmunta-Augusta, które dopełnia również wzmianka o jego zgonie. Z tych powieści drugą uważam za lepszą. Obraz dworu królewskiego, zabaw dziecięcych, ścierania się dobrych i złych wpływów, oddziaływających na młodziutkiego królewicza jest barwny i urozmaicony. Ale i tu zarzuciłbym przesadę w wizerunku Bony. Nie pojmując apologii chytrej Włoszki, uważam jednak, że przedstawienie jej w roli zawodowej trucicielki jest rzeczą nieco ryzykowną.

Czasy Michała Korybuta dostarczyły p. Waleremu Przyborowskiemu wątku do opartej przedewszystkiem na efektach powieści „Widmo Ibrahima“. Zdobią ją dobre rysunki Ksawerego Pillattiego.

Szczęśliwy pomysł przyznać trzeba książce, p. t. „Dzieci w dawnych czasach“. Tytuł zresztą nie zupełnie ściśle określa jej zawartość. Książka nie opisuje ani dawnych dzieci w ogóle, ani takich postaci dziecięcych, które byłyby typowemi w danej epoce, — przeciwnie, bohaterowie jej są przeważnie dziećmi wyjątkowemi.

A dziatwa to nie byle jaka! Błyszczą na tej liście imiona: Królewicz Bolko (Bolesław Krzywousty), Leszek Biały, św. Kazimierz, Klemens Janicki, Urszulka Kochanowska, książę Radziwiłł Sierotka i im podobne. Składa się na tę piękną galeryę dwadzieścia postaci młodzieńczych, nimbem sławy promieniejących, a odtworzonych w tyluż obrazkach, które z różnych polskich autorów wybrał p. Wł. Bełza. Wybór jest wogóle trafny. W liczbie autorów znajdują się: Szajnocha, Bartoszewicz, Kraszewski, Hoffmanowa, Henryk Rzewuski i inni. Dziesięć pięknych rysunków Walerego Eljasza ozdabia ten zbiorek zajmujący i pouczający.

Pani Teresa-Jadwiga w „Pojedanych“, powieści (raczej powiastce) z czasów Napoleona I, sięgnęła do bogatej skarbnicy — wydostała z niej wszakże tylko trochę drobnej monety. Zarzutem, jaki tej powiastce postawić można, jest brak właściwego kolorytu historycznego, zwłaszcza w części pierwszej, rozgrywającej się w Warszawie w r. 1809. Wszystko tam tak wygląda, tak postępuje i tak przemawia, jak za dni naszych W miarę rozgrzewania się akcyi, rozgrzewa się i styl autorki, a punkt szczytowy opowiadania: bitwa pod Somo-Sierra, posiada dużo wojennej „brawury“. Rzecz dziwna jednak, a dla psychologa ciekawa: w opracowaniu pani Teresy-Jadwigi najsławniej wychodzi najgłówniejsza postać obrazu — Napoleon. Po za tem opowiadanie jest zajmujące i niejedną sceną epizodyczną szlachetny zapał w sercach młodych obudzi.

Walka z rakiem.

Pisma zagraniczne ogłaszają odkrycie lasecznika raka. Specyaliści zapewne niedługo ocenią doniosłość tego odkrycia, tymczasem jednak dla chcących tę kwestyę zbadać gruntowniej dodajemy, że odkrycia dokonał chirurg berliński Maks Schüller. Objawowa strona tej choroby znana jest dobrze. Polega ona na tem, że nawiedzone przez raka komórki ciała naszego nabierają skłonności do rozrostu. Jest to rozrost specyalnej tylko tkanki, lecz zabójczy. W zakresie ratunku chirurgicznego chodzi oczywiście o najwcześniejsze stwierdzenie i znalezienie siedliska okropnego rozrostu tkanki, co nie zawsze jest możliwe przy porażeniach wewnętrznych, — które niejednokrotnie opóźniają dyagnozę. Z chwilą, gdy mikroskop wprowadził lekarza w nowe społeczeństwa drobnoustrojów, zaczęto poszukiwać lasecznika raka. Do dziś dnia jednak pozostaje on w ukryciu, pomimo, że zdemaskowano jego towarzyszów broni, mniej lub więcej groźnych, jak cholera, suchoty, dżuma itp.

Otóż doktorowi Schüllerowi udało się podobno odnaleźć lasecznika raka i zbadać do pewnego stopnia jego naturę. Ogłosił on swoją w tym względzie pracę pod tytułem: „Die Parasiten im Krebs und Sarkom der Menschen“. Uczony niemiecki zaznacza, że odkryty lasecznik nie znosi zimna i gorąca powyżej 50° Celsiusza, że przytem ma ogromny wstręt do alkoholu, od którego ginie. Lasecznik ten, dostający się do organizmu zzewnątrz, daje się obserwować na razie w postaci błyszczących żółtawych kulek, kryjących w swem wnętrzu drobnoustroje. Wkrótce kulki pękają i uwalniają całe gromady pracowników — śmierci.

Jeżeli odkrycie doktora Schüllera dotyczy lasecznika, bezpośrednio powodującego raka, wówczas walka z tą chorobą wejdzie na tory, na które oddawna weszła walka z suchotami: równolegle z naturą chorego człowieka badają lekarze życie lasecznika i poznają coraz więcej jego własności. Celem tej pracy jest wytworzenie takich warunków, któreby bez szkody dla naszego zdrowia uniemożliwiały pobyt w naszem ciele niewidzialnych wrogów. Nauka nie cofa się przed tem, łudzkość czeka na to — chodząc na wyścigi.

Nowe książki.

Jerzy Orwicz. **Okruchy „życia“.**

Z biesiadnego stołu życia, przy którym toczy się tam wesoła rozmowa, ówdzie odzywa się srebrny śmiech pięknej kobiety, a gdzieś na szarym końcu wyrywa się ciężkie westchnienie — autor zebrał do swoich nowel trochę okruchów, niekiedy wymownie świadczących o charakterze życiowej biesiady. Niewymyślne tematy opracowało pióro utalentowane, kierowane ręką ciepłą i serdeczną. Zwłaszcza przemówi do duszy czułego słuchacza owiana bolesną ironią nowela: „Gdyby była sierotą“.

* *

Georg Brandes. **„Aestethische Studien“.** Uebersetzt von Alfred Förster.

Estetyczne studya Brandesa odznaczają się tem, że stanowią wnioski z badań nad dziełami sztuki, w zestawieniu ich z życiem i w odszukaniu subtelnego zmysłu psychologicznego autora W powyższych studyach J. Brandes wyjaśnia trafnie i zajmująco idee tragiczności i komizmu, roztrząsa wpływ losu (fatum) i woli osobniczej na winę, zastanawia się nad sprzecznością między tragizmem a komizmem, mówiąc, że pierwszy polega na tem, że coś jest, co być nie powinno, a drugi, że coś powinno być, a nie jest.

* *

Hr. L. N. Tołstoj. **„Co to jest sztuka?“.** Z upoważnienia autora spolszczył Adolf Jakób Cohn.

Autor burzy gmachy teoryj estetycznych; na gruzach stawia własną teoryę sztuki. Można nie być zwolennikiem pobijania lub mierzenia idei piękna ideą dobra, jak to czyni autor; ale w chwili, gdy rozwielmożnia sie u nas kierunek odwrotny — pobijanie idei dobra ideą piękna, ukazanie się tej książki, pełnej głębokich myśli i szlachetnej w założeniu swojem — może się przyczynić do przywrócenia naruszonej równowagi między dwiema zasadami: — dobra i piękna.

* *

Gerard de Beauregard. **„Les Maréchaux de Napoleon“.**

Jest to charakterystyka dwudziestu pięciu marszałków, współpracowników Napolepna I., którzy wraz z nim stworzyli blask epoki pierwszego Cesarstwa, wraz z nim — niestety, nie wszyscy — dumnie przyjęli tragiczny cios losu, pod którym pierwsze Cesarstwo upadło. Znaleźli się bowiem wśród nich tacy, którzy na upadku tego, który ich dźwignął w górę, zrobili karyerę... W książce przewijają się wspaniałe postacie: Murata, Neya, Davout'a, Poniatowskiego i innych. Dzieło to ozdobione jest świetnemi reprodukcyami z obrazów mistrzów sztuki francuskiej, którzy odtworzyli sławne czyny epoki Napoleońskiej.

* *

Thomas Emil. **„20 Jahre deutscher Literaturgeschichte“.**

Przedstawić żywo i barwnie w książce, zawierającej ledwie ośm arkuszy druku, działalność literacką przeszło 250 pisarzy współczesnych w ciągu dwudziestu lat ostatnich — była zadaniem nie lada. Podołał mu autor, umiejętnie wyszukując najwykwintniejsze znamiona każdego z charakteryzowanych pisarzy. Dla tych, którzy ciekawi są najnowszej „modernistycznej“ literatury niemieckiej, jest to podręcznik nieoceniony jeszcze i z tego względu, że bezstronny autor uniknął tak niekrytycznego panegiryzmu, jakoteż i bezlitosnego wyszydzania nowych kierunków.

Wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego" (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.